

Fragment książki



Jolanta Fajkowska

MUZYKA

z profilu i en face

ROZMOWY O JAZZIE

BELLONA

Słowo wstępne

Ta książka jest o muzyce – z profilu i en face.

Urszula Dudziak ma swoją gwiazdę w panteonie wokalistów jazzowych. Świat do dziś śpiewa *Papaję*, armia filipińska ćwiczy w rytm tej energetycznej muzyki. Urszula nie wstydzi się łez, gdy przypominam rozstanie z Michałem Urbaniakiem, wzrusza się, gdy mówimy o ich córkach.

Jan Ptaszyn Wróblewski, guru polskiego jazzu, ze swadą, dynamicznie opowiada o muzyce. Jego dźwięki inspirują kolejne pokolenia jazzmanów. Namówienie go na rozmowę nie było proste. Jest ekstrawertyczny w muzyce, introwertyczny w życiu. Dziękuję prezesowi Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, który przekonał Pana Jana, że warto podzielić się swoim nieprzeciętnym życiorysem.

Marek Karewicz, artysta fotografii, uwiecznił wszystkich ważnych w polskiej muzyce, zwłaszcza jazzie. Marek to niewyczerpana skarbnica anegdot, wspomnień, historyjek z życia muzyków. Był wszędzie, widział wszystko, wypił z każdym, a poza tym tak pięknie opowiada...

Pianistami jazzowymi Polska stoi! Włodek Pawlik, Artur Dutkiewicz, Bogdan Hołownia, Andrzej Jagodziński, Włodzimierz Nahorny, Krzysztof Sadowski – łączy ich Chopin, geniusz fortepianowych kompozycji, pierwszy polski improwizator, jak zgodnie przyznają nasi najlepsi jazzmani.

Czym byłby polski film bez jazzu? Do dziś brzmią nam w uszach synkopy Krzysztofa Komedy Trzcńskiego w filmach Romana Polańskiego. Postać Komedy wraca we wspomnieniach tych,

którzy z nim grali. Ptaszyn, Urbaniak, Dąbrowski, Sadowski przypominają osobowość tego nieprzeciętnego kompozytora. Do niego, komponując dla filmu, odwołuje się dużo młodszy Włodek Pawlik.

Jazz to wolność. Dlatego w ponurych latach 40. i 50. ubiegłego wieku był zakazywany przez komunistyczne władze jako przejaw buntu i amerykańskiej kultury. Muzycy słuchali trzeszczących radiodbiorników, by złapać uciekające fale Radia Luxemburg czy Voice of America ze słynnym Willisem Conoverem. Muzyczna wolność pojawiła się w naszym kraju wraz z odwilżą popaździernikową 1956 roku na festiwalu Jazz Jamboree. Jego marka przyciągała wspaniałych artystów – Duke’a Ellingtona, Dizziego Gillespiego, Jimmiego Smitha, Milesa Davisa i wielu, wielu innych.

Rozmowy z muzykami to także prywatna historia Polski. Krzesimir Dębski wspomina dziadków zamordowanych w czasie rzezi na Wołyniu. Zbigniew Kurtycz raz jeszcze wybrał się do Lwowa i oddał hołd generałowi Władysławowi Andersowi, w którego Armii służył. Bogdan Hołownia pamięta wuja-pilota z Dywizjonu 302, walczącego o Anglię. Janusz Szrom nie zna wprawdzie węgierskiego, ale płynie w nim madziarska krew, bo dziadek po kampanii wrześniowej 1939 roku osiadł pod Budapesztem i stamtąd przywiózł jego babcię.

Jan Ptaszyn Wróblewski ukończył mechanizację rolnictwa, Andrzej Rosiewicz – wydział melioracji wodnych, Krzysztof Sadowski jest elektronikiem. Prawnikami i sędziami są Krzysztof Karpiński, były prezes Apelacji Warszawskiej, i Jerzy Stępień, były prezes Trybunału Konstytucyjnego. Ten pierwszy jako dziennikarz i krytyk muzyczny napisał książki o Mieczysławie Koszu i jazzie w przedwojennej Polsce, a jako pianista gra w duecie z Krzysztofem Sadowskim.

Wywiady, nagrane dla Radia VOX FM, pochodzą z lat 2008–2013. Tylko jeden nie został wyemitowany – z Włodkiem Pawlikiem.

W książce ma więc miejsce premiera rozmowy sprzed Grammy 2014. Wiele z tych radiowych spotkań odbyło się z inspiracji Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, najstarszej organizacji skupiającej polskich jazzmanów.

Jolanta Fajkowska

Warszawa, kwiecień 2015

Urszula Dudziak



Debiutowała w 1958 r. z zespołem Krzysztofa Komedy. Do końca lat 80. współpracowała z Michałem Urbaniakiem. W 1973 r. wyjechała do Nowego Jorku, występowała na Newport Jazz Festival i w Carnegie Hall. Według „Los Angeles Times” Wokalistka Roku 1979. Nagrała pięćdziesiąt płyt, śpiewała z Bobbym McFerrinem, Herbiem Hancockiem, Dizzym Gillespiem, Wyntonem i Branfordem Marsalisami, Gilem Evanssem, Stingiem.

„Papaja” w formie

Jaka jest najpopularniejsza polska piosenka na świecie? Jaka jest najpopularniejsza polska artystka na świecie? Urszula Dudziak i jej Papaja.

Co się dzieje wokół renesansu *Papai*, skumać nie mogę.

Armia filipińska ćwiczy, trenuje w jej rytm.

Widziałam wideoklip, rozbawił mnie do łez. Wyobraźcie sobie armię filipińską, setki żołnierzy, którzy przekładają broń z jednej ręki do drugiej. Ktoś pohukuje, wydając jakieś dziwne odgłosy zachęcające do walki. Nagle żołnierze rzucają karabiny na ziemię i leci moja muzyka ta-ta-ta. Oni robią ruchy ta-ra-ra-ra rękami w lewo, ta-ra-ra-ra w prawo. Jedna ręka w górę i druga, potem węża robią, kręcąc biodrami. Szok dla mnie, ale miły i zabawny. Muszę się tego tańca nauczyć. Patrzą, patrzą i myślę sobie: „Psia kość, muszę teraz dorównać armii filipińskiej i studentom koreańskim”. Ta piosenka daje dużo radości, wolności, swobody. Nasza cywilizacja poharatana, gdzieś leci w jakimś kierunku, może nawet nie najlepszym. A ludzie chcą na chwilę się nacieszyć tym, co mają teraz, w tym momencie. Chyba ta piosenka daje im tę możliwość.

Papaja krążyła po całym świecie.

W 1976 roku nagraliśmy ją dla Aristy z Michałem Urbaniakiem. Jest współkompozytorem tej piosenki, należy o tym pamiętać. Bo bez niego dziecko by się nie urodziło. I Arista, która zasłynęła wieloma fantastycznymi artystami, m.in. Whitney Houston, lansowała ten utwór. W niektórych krajach był hitem, w Meksyku był numer jeden, na Hawajach numer dwa, we Włoszech

też. Myśleli, że będzie jak później *Macarena*. Nie została. Chyba ludzie nie byli na niego gotowi.

Spotkanie z tobą za każdym razem daje tyle energii. Taka jest Twoja muzyka, piosenki i Ty sama. Skąd tę energię czerpiesz?

Może jestem jakimś dzikim mutantem, albo może to cudowne zdarzenie, które miało miejsce dziesięć lat temu pod nazwą menopauza? Gdy weszłam w okres menopauzalny, wszystko mi się w głowie cudownie ułożyło. Kłopoty mnie nie lubią, przeciwności idą w innym kierunku, nie spieszę się, a mam zielone światło. Są okresy, kiedy się zmagamy i nic nam się nie układa, a potem nam się zaczyna wszystko układać. Jestem w świetnej formie, będę miała w tym roku sześćdziesiąt pięć lat.

Mówisz o swoich bardzo prywatnych i intymnych sprawach, podajesz, ile masz lat. To rzadkie u gwiazd.

To jest stereotyp, z którym należy walczyć. Ząb czasu gryzie wszystkich jednakowo. Apoteoza i podniecanie się młodością działa przeciwko nam. Młodość jest piękna, ale szybko mija. Należy w sposób naturalny podejść do każdego etapu naszego życia i cieszyć się tym, co mamy. Na koncertach mówię, ile mam lat, i za to dostaję największe brawa. A jestem łasa na komplementy. W Polsce jest osiem milionów pań w wieku menopauzalnym. Kobiety potrzebują dobrej energii, dobrego słowa, otuchy, troski, docenienia ich. Nie muszą być tylko babkami, zajmować się wnuczkami. Mogą dużo zrobić, korzystać w sposób przepiękny z życia. Trzeba popatrzeć na mnie i słuchać mnie jak pies trąby.

Ambasadorka dojrzałych kobiet. Jak to się stało, że zaistniała Urszula Dudziak jako artystka?

Przyjechaliśmy do Stanów z Michałem Urbaniakiem. Dostaliśmy kontrakt w Columbii. To bardzo poważna firma, która się nami poważnie zajęła. Ma ekspertów, którzy wiedzą, jak się uruchamia maszynę kariery. Otwieraliśmy koncerty dla wybitnych zespołów,

takich jak Chick Corea, Head Hunters Herbiego Hancocka. Byliśmy supportem. W ten sposób publiczność mogła nas zobaczyć i usłyszeć. To był bardzo ważny okres promowania naszej pierwszej płyty dla Columbii. Stałam na scenie i wiedziałam, że za kulisami czeka Herbie Hancock, którego kochałam do bólu. To było niesamowite, że jestem na tej samej scenie z największymi, do których kiedyś się modliłam. To było dla mnie wyróżnienie i niesamowity, niesłychany czad. Poczułam, że coś się dzieje w moim życiu, że złapałam Pana Boga za nogi.

Czy wykorzystaliście tę szansę, którą los wam dał?

Wykorzystaliśmy tę szansę pod wieloma względami, ale nie pod wszystkimi. Przez nasze charaktery, Michała i mój. Przede wszystkim jesteśmy artystami. Czyli dla nas najważniejsze było, żeby grać dobrą muzykę z fantastycznymi muzykami. Było ważne, by się nauczyć Nowego Jorku, żeby korzystać z tego miasta i być jego częścią. Być częścią rodziny, niesamowitej, jazzowej, z najwyższej półki. Natomiast z punktu widzenia biznesowego na pewno popełniliśmy dużo błędów. Michał uważał, że nie potrzebujemy menedżera, bo on sam jest najlepszy pod każdym względem. Że Polak da sobie radę bez pomocy innych. Potem oczywiście wszystko się zmieniło, ale początki były ważne. Dopiero po czasie zrozumieliśmy, że trzeba było się podporządkować, a nie wyważać otwarte drzwi. Ale i tak nie mamy sobie nic do zarzucenia. Nie warto mówić, co by było gdyby. Można się wiele nauczyć z potknięć i schodów, ale mówienie o błędach jest bez sensu.

Bardzo dużo osiągnęliśmy na naszym jazzowym podwórku. Gdybyśmy poszli drogą *Papai*, próbowali więcej takich numerów napisać, może inaczej by to wszystko wyglądało.

Byliście za ambitni?

Byliśmy sobą. Ludzie często pytali, dlaczego nie napisaliśmy drugiej *Papai*. Nie napisaliśmy, bo nas już nie interesowała taka

muzyka. Nie jesteśmy typem artystów, którzy idą za ciosem. *Papaja* to był fajny utwór i *we are happy*. Jesteśmy zadowoleni z Michałem, że powstał, i absolutnie od niego nie uciekamy.

Zawarliście przyjaźnie z artystami. Czy one czymś zaowocowały?

Gdy przyjechaliśmy do Nowego Jorku, spotkaliśmy się z Chikiem Coreą, człowiekiem bardzo kumatym, oblatanym w każdej materii. Jest typowym przykładem wybitnego artysty i świetnego biznesmena. Ma wszystko, tak mu Bozia dała. Bardzo dużo nam pomógł. Czy myśmy z jego nauk skorzystali, to inna sprawa. My, takie zielone ogórki, przyjeżdżamy do Nowego Jorku, rozglądamy się, nie wiemy, co się dzieje. Człowiek, który tam mieszka, ma muzyczne osiągnięcia, a jeszcze ma podejście do biznesu, może dużo pomóc. Jesteśmy w wielkiej przyjaźni. Ilekroć Chick Corea przyjeżdża do Polski i akurat jesteśmy na miejscu, to zawsze się spotykamy. Tak samo z Florą Purim, Herbiem Hancockiem czy z Waynem Shorterem i Bobbym McFerrinem. Byłam na koncercie Dee Dee Bridgewater. Poszłam do niej za kulisy, od razu mnie poznała. W 1972 roku byliśmy na tym samym festiwalu w Chateaufallon we Francji. Graliśmy z Michałem Urbaniakiem i naszym zespołem, ona występowała z Thad Jones/Mel Lewis Orchestra. Miałam ze sobą jej zdjęcie sprzed trzydziestu sześciu lat i zdjęcie z festiwalu, jak śpiewa z tym słynnym big-bandem. O mało się nie rozplakała, wszystkich wymieniła po kolei: Billy Harper, Pepper Adams, Joe Farrell, Bob Brookmeyer, Snooky Young i Jon Faddis, jej były mąż Cecil Bridgewater. To było bardzo emocjonalne spotkanie. Przyjaźnie pozostały. Taka muzyczna rodzina na wieki.

Dziewczyna ze Straconki dotarła na szczyt. Straconka jeszcze istnieje?

Złożyłam podanie o dowód osobisty i okazało się, że Straconki nie ma. Bielsko-Biała połknęła Straconkę! Czyli zamiast urodzić

się w Straconce, urodziłam się w Bielsku. Nie mam nic przeciwko Bielsku, bo to piękne miasto, ale jestem przywiązana do mojej Straconki. Chociaż przez nią dużo się nacierpiałam w szkole, dzieci się ze mnie śmiały. Mówiły: „Tam się chyba ludzi traci? Ty się na tym znasz?”. Akcje rosły, gdy nauczycielka czytała Kochanowskiego i *Orszulko moja* itd. Wtedy dzieci się na mnie patrzyły. Straconka to bardzo szczególne dla mnie miejsce. Nie byłam tam kilkadziesiąt lat. Słyszałam różne opowieści, że dzielnica willowa, że wypas niesamowity. Kiedyś cudowny skansen, miejsce magiczne i że go już nie ma. Ale pojechałam. Bardzo się moja Straconka zmieniła.

Rodzina jeszcze tam mieszka?

Kuzyni, dalsza rodzina. Planujemy zjazd rodzinny w sierpniu, będzie około trzydziestu pięciu osób. Kasia i Mika, moje córki, też przyjadą. Byłyśmy w Gliwicach, miałyśmy wspólny koncert, przyszła nasza rodzina. A Mika wcześniej nawet niektórych dalszych kuzynów nie znała. „Mamo, dlaczego mi nie powiedziałaś, jaką fajną mam rodzinę!”

Może dostaniesz honorowe obywatelstwo miasta Bielsko-Biała, a nie jakiejś wsi Straconka.

Już mam dwa. Zielonej Góry i Gubina. Czekałam na Bielsko-Białą, bardzo proszę. Bardzo by mi to schlebiało.

Papaja teraz ogarnęła cały świat.

W Meksyku mówili na mnie Ula Papaja. *Papaja* to według mnie muzyka transcendentalna. Nie wymaga dużego wysiłku, by ją zrozumieć, trafia w emocje. Zakodowane jest w niej coś bardzo specjalnego. Radość życia przede wszystkim. Śpiewam tę piosenkę na koncertach już trzydzieści dwa lata. Widzę, jak ludzie radośnie reagują i tańczą. I wtedy myślę sobie: jeszcze będę śpiewać. Bobby McFerrin, jak ktoś mu mówi: *Can you sing for us „Don't worry be happy”*, wpada w szal, robi dziwne miny

i jest wściekły. Dla niego ta piosenka stała się przekleństwem. Nie rozumiem tego. Każdy by chciał mieć taki przebój. Po drugie – to jest jego dziecko. Wiem, jakie on ma ambicje. Chciałby zostać wybitnym dyrygentem muzyki klasycznej.

Znacie się od dawna, więc znasz jego tajemnice.

Jestem na koncercie w Avery Fisher Hall na Manhattanie w Nowym Jorku. Pełna sala. Ja najmłodsza, bo tam przychodzą wapniaki, ludzie, którzy wykupili siedzenia od stu lat. Na scenie orkiestra symfoniczna. Chick Corea na fortepianie, dyryguje Bobby McFerrin. Publiczność siedzi, patrzy, słucha i akceptuje. Potem orkiestra symfoniczna schodzi. Brawa, umiesz, umiesz dyrygować. I nagle Bobby McFerrin podchodzi do Chicka Corei, siada koło niego z mikrofonem i zaczyna śpiewać. Wszyscy zamierają. Na widowni szaleństwo. Było o milimetr, żeby rzucali marynarkami. Te wapniaki!

Podobno po całym mieście, po całej Warszawie, poruszasz się na piechotę.

Za mną nikt nie może nadążyć, może tylko Korzeniowskiemu by się udało. Mam taką energię. Czasami wskoczę do tramwaju. Nie mam samochodu, choć jestem genialnym kierowcą. Mam prawdopodobnie z milion kilometrów przejechanych. Trasy w Stanach to są dopiero kilometry! Po Skandynawii woziłam artystów, ja jedna jako osoba odpowiedzialna nie piłam. Tatuś bardzo mnie chwalił, gdy przyjechał do Nowego Jorku. Mieliśmy Dodge'a, vana, dużego jak autobusik. „Uluś, jak ty świetnie jeździsz. Temu dałbym mandat, temu bym zabrał prawo jazdy”. Oburzał się na Manhattanie, jak Amerykanie jeżdżą. A po miesiącu mówi: „Dziwi mnie, że wszyscy tak źle jeżdżą, a nie ma żadnych wypadków”. Nie mam samochodu, bo samochód nie jest mi potrzebny. A poza tym, jak się dużo siedzi, szyneczki przybierają na wadze, a ja za tym specjalnie nie przepadam. Lubię być w świetnej formie.

Trenujesz, ćwiczysz, ciągle jesteś na korcie.

Kocham grać w tenisa. To wszystko przez Fibaka. Przyjechał pod koniec lat 70. do Nowego Jorku i oczywiście u nas zamieszkał. Wojtek Fibak, przecież on był w pierwszej szóstce na świecie. Byliśmy tacy dumni, że nawet podszywaliśmy się pod jego menedżerów. Mówiliśmy, że jesteśmy jego ekipą, i z raketami tenisowymi wchodziliśmy na Forest Hills. Mieliśmy ze dwanaście osób najbliższych przyjaciół, pchaliśmy się do łoży. Wtedy się wszystko zaczęło.

Można w każdym wieku nauczyć się nowych rzeczy.

Niedawno nauczyłam się grać na gitarze. I teraz chcę zacząć grać na harfie. Wszystko można zrobić, tylko trzeba chcieć. Należy pozbyć się francowatych stereotypów typu: jestem za stara, nie wypada. Jak przyjechałam do Stanów, zobaczyłam na Manhattanie niezwykle kobiety – w moim wieku w minispódniczkach. To właśnie kocham u nowojorczyków, że każdy może być wolnym człowiekiem. Nie może robić, co mu się żywnie podoba, ale jak nie wyrządza nikomu krzywdy, to może sobie w swoim tym malutkim ogrodzie siać wszystko, co chce, i być z tego dumnym. Mam dużo rzeczy i do powiedzenia, i do pokazania, i do zaśpiewania. Myślę, że świat już jest na mnie gotowy.

Podobno jesteś mistrzynią Polski w wielu turniejach tenisowych.

Gram w turniejach vipowskich, które towarzyszą turniejom poważnym. Nie gram o punkty ATP, tylko gram o punkty dla siebie. Pamiętam mecz na Manhattanie z Januszem Głowackim. Był koniec sierpnia, a we wrześniu jest zawsze turniej US Open w Nowym Jorku. Jak my gramy, to na śmierć i życie. Latamy za piłką i nagle pojawił się nad nami helikopter. Krąży nad nami, a Janusz mówi: „Szukają zawodników na US Open”. Kocham ten sport. Mam dużo pucharów. Więcej pucharów niż złotych płyt, bo mam jedną złotą, a złotych pucharów za tenis bardzo

dużo. Jestem sprytna – nie mówię, że mam drugie miejsce, tylko że byłam finalistką.

Lepiej brzmi niż drugie miejsce.

Teraz startowałam dla Owsiaka 13 stycznia. Było trzydzieści pięć par. W deblu byłam finalistką, dobrze grał mój partner. Jestem na Prokom Open. Było mało dziewczyn, w związku z tym musiałam grać z facetami. Przegrałam z Januszem Głowackim, z Jankiem Englertem też. On świetnie gra, nie miałam sobie nic do zarzucenia. Ale Henio Sawka. Obserwowałam go, myślę sobie: miernota. Wychodzę na kort, a on zaraz mnie rozszyfrował. Widział naładowaną góralkę. Wybitnie inteligentna bestia, która znalazła do mnie klucz. Zdekoncentrował mnie i przegrałam. Autentycznie przeżyłam porażkę. Zauważył to i przyniósł mi rysunek. Dwóch tenisistów na korcie, a w tle gra kobieta. Jeden do drugiego mówi: „Słyszałem, że ta Dudziak też śpiewa”. Obrazek wisi u mnie nad pucharami.

Dlaczego rozstaliście się z Michałem?

Zaczęliśmy iść w różnych kierunkach. Michał to wielka osobowość. Wybitny kompozytor, wybitny muzyk. I musi mieć przy sobie kobietę, która jest wpatrzona w niego jak w obraz. Każdy jego gest na scenie, uśmiech czy grymas, to było albo niebo, albo piekło. Czułam się przy nim niespełniona. Chociaż bardzo mi pomagał, bardzo mnie inspirował. Może byłam jeszcze niedojrzała? Nie umiałam skorzystać z jego geniuszu i poczułam się bardzo niedowartościowana.

Przytłoczył Cię?

Nie robił tego z jakąś premedytacją. Był taki, jaki był. Być może czuł, że nie ma przy sobie kobiety, która jest szczęśliwa i kwitnie. I dlatego pewnie zakochał się w innej i odszedł. Jestem z nim już na wieki związana emocjonalnie. Ale jestem już inną osobą, już inaczej na niego patrzę. I właściwie nie ma tego złego, co by

na dobre nie wyszło. Dowiedziałam się, na co mnie stać, kim jestem, jak daleko mogę pójść. Okazało się, że siebie lubię, że siebie naprawdę cenię i wiem, że dużo rzeczy jeszcze przede mną. Że mam jakiś nieprawdopodobny potencjał, z którym wcześniej nie wiedziałam, co zrobić. Rozwiązałam węzeł, który mnie cisnął.

Byliście małżeństwem i macie dwie córki, fantastyczne córki. Jedna poszła w Wasze ślady. A co się dzieje z drugą?

Kasiunia jest za wrażliwa, za mądra, za bardzo ciekawa świata. Wydawałoby się, że to są walory. Okazuje się, że w niektórych sytuacjach może lepiej by było się wyspecjalizować. Bo ona interesuje się wieloma rzeczami. Cokolwiek dotknie, to się tak podpala, tak podnieca i tak zgłębia po to tylko, żeby za chwilę zainteresować się czymś innym. Jest wybitnie inteligentna. Pisze książkę, rzeźbi w metalu, pięknie maluje, interesuje się makrobiotyką, robi filmy. Była w Kambodży i nakręciła piękny film o sierocińcach. Chłonie życie pełnymi garściami. Co robi, robi znakomicie, natomiast szybko ją to nudzi, szuka następnego zainteresowania, wyzwania. Jest to osoba czasami bardzo szczęśliwa, bardzo spełniona i za chwilę jest pogrążona w smutku. Pięknie śpiewa. Ma po prostu cudowny głos.

Lepszy niż Mika?

Inny zupełnie. Mika kocha Erykah Badu, Lauryn Hill, fascynuje ją Amy Winehouse czy Missy Elliot, Jill Scott. Kasia natomiast woli Fionę Apple, Suzanne Vege, Kate Bush, Björk. Inne klimaty. Jak Mikę poproszę, żeby zaśpiewała, nie jest taka szybka, żeby zaraz zaśpiewać. Natomiast Kasia tylko na to czeka. Jak śpiewa, dreszcze mnie przechodzą. Jak Mika śpiewa to też. Według mnie Mika ma nieprawdopodobny talent. Podoba mi się wszystko, co robi Kasia. W wieku jedenastu lat napisała parę takich wierszy, że Jurek Kosiński powiedział: „Jesteś poetką. Napisz jeszcze z parę wierszy, ja napiszę wstęp i wydamy”. Nie

mógł uwierzyć, że jedenastoletnia dziewczynka może napisać takie dojrzałe wiersze.

Opowiadasz o historii Papai na koncertach?

Jak Kasia była mała, to nauczycielka zapytała, co robi jej mama. Moja mama śpiewa. A co Twoja mama śpiewa? Moja mama śpiewa dunkiku. A co to jest dunkiku? Jak to, dunkiku to jest dunkiku ta-ra-ra. I wtedy, z reakcji Pani, Kasia się zorientowała, że coś tu nie gra. Doszło do konfrontacji przy obiedzie. Mówi: „Mama, nie możesz śpiewać normalnie?”. Tatuś też był trochę zmęczony moim śpiewaniem, takim bez tekstu, i mówi: „Uluś, zaśpiewaj coś normalnie”. Ale kiedy już doszedł do wniosku, że nie można mnie powstrzymać, że się tak rozbuchałam w tych eksperymentach, powiedział, że lubi moje kociokwiki.

Jerzy Kosiński, Twój wielki życiowy przyjaciel. Powracasz do chwil spędzonych razem? Przypominasz sobie spotkania z nim, rozmowy?

Te cztery lata tak wrosły w każdą moją komórkę. To część mojego życia, zostanie na zawsze. Wracam do niego w myślach bardzo często. Codziennie. Bardzo mi go brakuje. Jestem gdzieś w towarzystwie i jest jakaś sytuacja, w której trzeba coś powiedzieć. Coś dopowiedzieć, coś dodać, coś skomentować czy spuentować. On był w tym rewelacyjny. Czasami proszę: „Jurek, pomóż!”. Trochę się przy nim wyrobiłam. Bardzo dużo skorzystałam z jego intelektu. Był błyskotliwy, dowcipny, trochę cyniczny. Byliśmy na przyjęciu u znajomych. Przepadał za gospodynią, a gospodarza nie znosił. Jurek mówi do mnie: „Patrz, Uleńko. Jak takie piękne zdanie może żyć z takim przecinkiem?”. Miał zawsze fantastyczne komentarze.

Jak się poznaliście?

Śpiewałam w słynnym klubie nowojorskim Blue Note. Siedział na podwyższeniu przy stoliku dla specjalnych gości. Może przyszedł z kolegą, nie wiem. Ja go oczywiście zauważyłam,

znałam wcześniej z telewizji. Przed dziesięciu laty widziałam go na ulicy, bo mieszkaliśmy bardzo blisko siebie. Ja mieszkam na Pięćdziesiątej Ósmej, a on na Pięćdziesiątej Siódmej. Mieliśmy kilkaset metrów do siebie.

Świetny adres.

Przy Szóstej Avenue. Pewnego dnia, idąc Pięćdziesiątą Siódmą ulicą, widzę Jerzego Kosińskiego. On wtedy bardzo często brał udział w *The Tonight Show* Johny'ego Carsona, bardzo popularnym talk show amerykańskim. Byłam nim zafascynowana, podobał mi się sposób, w jaki on opowiadał i dowcipkował. Indywidualność nieprawdopodobna. Podobał mi się też jako facet. Idzie naprzeciwko mnie, myślę sobie, to ja go zaraz zaczepię. Tylko co mam mu powiedzieć? „Dzień dobry, panie Kosiński. Jestem wokalistką jazzową z Polski”. Otworzyłam buzię, już chciałam coś powiedzieć. Zauważył, że przygotowuję się do ataku, do jakiegoś skoku. I w tym momencie spuścił oczy. Nie miałam odwagi. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie jestem w jego typie, że po prostu nie chce być rozpoznany. Potem miał do mnie żal i pretensje: „Dlaczego wtedy nie podeszłaś do mnie i nie zaczepiłaś mnie?”. Ale to nie był ten moment. Nie byłyby tak piękne chwile cztery lata później.

Czy Jerzy Kosiński nakłaniał Ciebie do pisania? Nie myślałaś nigdy o tym, żeby prowadzić pamiętnik, spisywać swoje wrażenia?

Przeczytałam mu parę swoich tekstów, bo piszę bajki dla dzieci. Fantastyczne, stylizowane pod Brzechwę. On oszalał, był zachwycony. Uważał, że powinnam pisać. Po paru latach od śmierci mi się śnił. Mówił mi wyraźnie: „Ula, pisz, pisz, ja ci pomogę”. Dokładnie tak mi mówił.

Powinnaś spisać wszystkie swoje wspomnienia. Amerykańskie i polskie.

Ile mam pamiętników! Jak wracałam z randek z Jurkiem, to nie pisałam, tylko nagrywałam sobie na walkmanie wszystko, co

się zdarzyło, o czym mówiliśmy, gdzie byliśmy. Bałam się, że zapomnę. Mam na tych kasetach fantastyczne skarby. I teraz je przepisuję. Sama chcę je spisać, zobaczyć, co na nich jest. I tak sobie wymyśliłam... Ale nie wiem, czy powinnam to mówić publicznie, bo sprzedam pomysł.

Żeby ktoś nie podkradł.

Chyba jest niemożliwe, żeby coś takiego zrobić. Myślałam, żeby na przykład co parę stron do autobiograficznej książki włożyć kompakt z nagraniem moim głosem z kaset. Jakość jest świetna i sposób, w jaki opowiadam. Umieć opowiadać i mam dobry głos. Kompakt, razem z nim odtwarzacz i wejście na słuchawki. Wszystko w książce, co dziesięć stron, powiedzmy, płyta. Taka kombinacja audiobooka z napisaną książką. Czytasz, czytasz i potem wkładasz sobie słuchaweczki...

Ciąg dalszy książki pisanej?

Niektóre nagrania spiszę, a w pewnych sytuacjach musi być mój głos. Ten głos, który odda emocje po spotkaniu z Jerzym Kosińskim.

Co Cię zafascynowało w Kosińskim?

Tajemniczość, osobowość niesamowita, wybitna inteligencja.

Jaki miał głos? Jako muzyk to też oceniasz.

Trochę za wysoki na moje wyczucie. Lubię niskie głosy. Nie oczarował mnie brzmieniem głosu, ale się przyzwyczaiłam. Mężczyzna musi być mądry przede wszystkim. Mądry i inteligentny. Może być brzydki, stary, ale nie może być głupi.

Rozmawiamy nie tylko o muzyce, ale również o Twojej rodzinie, o Twoich córkach. Czy było im łatwo? Mając znakomitych rodziców, indywidualności muzyczne o świetnych nazwiskach, jak wydobyć się z cienia?

Mika miała z tym problem i w dalszym ciągu jeszcze ma. Ale jakoś daje sobie z tym radę. Tłumaczę jej: „Są rodziny Douglasów czy Fondów. Ojciec, syn, córka, wybitni. Czy powiemy, że Jane Fonda dlatego taka dobra, bo miała słynnego ojca?”. Talent sam się klaruje. „Ty masz talent, naprawdę wielki talent. Ale rób, co chcesz. Rób to, w czym się czujesz dobrze”.

Są rody prawnicze, rody lekarskie i uznajemy, że tak powinno być, bo wiedza przenosi się z pokolenia na pokolenie. W wypadku rodzin artystycznych od razu się mówi, że rodzice pomagają i na pewno wpychają na scenę.

Taki stereotyp kreuje właśnie w młodości niepewność. A talent też się dziedziczy.

Gdy występujecie razem, czujesz matczyną odpowiedzialność?

Ostatnio miałyśmy koncert w bardzo fajnym klubie jazzowym w Gliwicach. To był koncert Miki i ona mnie na ten koncert zaprosiła, żeby zaśpiewać parę utworów. To było takie bardzo radosne, piękne spotkanie na scenie. Bo miałam wcześniej problem z tym, że nie chciałam jej przykryć sobą. Obserwowałam ją, czy ona się czegoś nie boi, nie przelęknie, nie myśli, że ją chce zdominować. Ale po raz pierwszy w Gliwicach stała koło mnie i śpiewała, i dawała mi różne pomysły muzyczne do improwizacji. To była piękna wymiana naszego umiłowania do muzyki. To było zdrowe, piękne i naturalne.

Byłaś odpowiedzialna jako matka, ale pojawiłyście się na scenie jako dwie artystki.

Zupełnie różne. Mika śpiewa inną muzykę. Nie można powiedzieć, że mnie naśladuje. Ona mnie podziwia. Mówi: „Mamuniu, jak ty ten break śpiewasz? Jak ty to robisz? Powiedz mi, naucz mnie tego”. A ja do Miki: „Naucz mnie, jak ty masz z feelingiem, gdy śpiewasz tę najnowszą swoją piosenkę”. Słucham, jak wydobywa dźwięki, jaki ma niesamowity timing. Śpiewa jak

Murzynka, po prostu bosko. Ja nie mam czegoś, co ona ma, i odwrotnie.

Rodzina też muzycznie uzdolniona? Rodzice grali na instrumentach, muzyka wzięła się z domu?

Siostra mieszka w Szwecji. Jest pielęgniarką, ma bardzo piękny głos, bardzo ładnie śpiewa, ale nie miała Urbaniaka. Tatuś grał na gitarze, brat na bębnach, grał z Krzysiem Komedą. U nas zawsze było pełno muzyki. Mama mówiła, że w każdym domu powinno być pianino i biblioteka. W naszym domu były organizowane minidancingi. Mieliśmy patefon z wymienialnymi igielkami. Mówię o czasach zielonogórskich, bo nie mieszkałam długo w Straconce. Potem wędrowaliśmy. Najpierw do Gubina, potem do Nowej Soli, potem do Zielonej Góry. Tatuś szukał pracy. Trzymaliśmy się nogawek tatuśka i jeździliśmy za nim. Do pierwszej klasy poszłam w Gubinie, do drugiej klasy w Zielonej Górze i tam już byłam do matury. Najważniejsze lata spędziłam w Zielonej Górze.

Urbaniaka gdzie poznałaś?

Urbaniaka poznałam w Warszawie w 1964 roku. Grał wtedy z Komedą i z Trzaskowskim w Hybrydach na Mokotowskiej. Ja też tam debiutowałam z Krzysiem Komedą w piwnicy pod Hybrydami. Byłam zakochana w kimś innym. Miałam perkusistę Andrzeja. Ale Michał sobie założył, że będę jego kobietą. Pięknie grał mi ballady na saksofonie. Zakochałam się.

Zauważył Twoje rude ogniste włosy?

Chyba tak. Jurek też. Mówił na mnie „tycjanowska piękność”. Kiedyś miałam włosy rude, ale kręcone. Teraz je prostuję.

Mokotowska. Klub Hybrydy. Jaka była wtedy atmosfera? Czterdzieści lat temu pojawiłaś się tam w studenckim klubie.

Miałam straszną tremę, jak zaśpiewałam z Krzysiem Komedą i jego Triem. Widziałam przed sobą długi korytarz. Przy barze

siedział Tyrmand, Roman Waschko, Andrzej Kurylewicz i Wanda Warska – elita intelektualno-muzyczna. Nogi mi się trzęsły, głos miałam kozi i vibrato. Bardzo to przeżyłam. Zawsze mówię o Krzysiu jako o swoim odkrywcy. Przyjechał do Zielonej Góry z teatrykiem Tingel-Tangel. Wieczorem po koncercie grał, jadł kolację w restauracji Piastowska, gdzie występowali miejscowi muzycy. Jeden z nich, pianista Mietek Puzicki, podszedł do niego: „Panie Krzysztofie Komedo. Jest tu młoda dziewczyna, śpiewa jazz, musi pan ją przesłuchać”. Następnego dnia uciekłam z lekcji, przyleciałam do restauracji, gdzie było pianino. Krzysio zagrał: „Co zaśpiewasz?”. Zaśpiewałam *Stomping at the Savoy*, potem jeszcze jedną piosenkę. „Co robisz w wakacje?”. Był maj albo kwiecień. „Przyjedź na miesiąc do Warszawy, będziesz śpiewała ze mną w Klubie Hybrydy”. Mnie się nogi ugięły. Myślałam, że zemdleję z wrażenia.

Gdy debiutowałaś, przyszła cała śmietanka muzyczna Warszawy.

I Zosia Komedowa, która była moją opiekunką i protektorką. Zmieniła mi nazwisko. „Jakie ty masz nazwisko, Dudziak? Urszula, jakieś szwabskie imię!”. Byłam najpierw Dorota Cedro. W gablocie przed Hybrydami wisiał plakat: „Rewelacja polskiej wokalistyki jazzowej Dorota Cedro”. Ktoś Zosi powiedział, że Dorota Cedro już jest w Polsce, pływaczka. „Może być Urszula, ale nazwisko przegrane. Będziesz Urszula May”. Przez igrek. Wokalistka, objawienie Urszula May. Potem ktoś na nią wpłynął i pewnego dnia powiedziała: „Już zostaniesz Dudziak”. Obcięła mi włosy, a były prawie do pasa. „Wygładasz jak Beethoven, nie może tak być”. I ciach mi wszystkie włosy. Była moda na *Świętą Joannę* z Jean Seberg, króciutkie blond włosy. I ja też miałam takie. Podkochiwałam się w Krzysiu. Po latach jej to powiedziałam. Miałam straszne poczucie winy, chociaż nikt o tym nie wiedział: „Zosieńko, strasznie kochałam się w Krzysiu”.

A ona mówi: „Nie ty jedna”.

Powiedziała: „Wszystkie go kochały”.

Podobno był uroczym człowiekiem.

Stwarzał klimat niepowtarzalny, jak Miles Davis, jak Gil Evans, z którymi miałam szczęście pracować. Dobierał muzyków nie przez to, jak grali, tylko przez to, jak mogli z nim grać. Stwarzał niesamowitą magię. Bardzo mało mówił, prawie nic. Jak olbrzymi, cudowny, najpiękniejszy ptak na świecie pochylał się nad nami i dostawaliśmy od niego prawie boską inspirację. Śpiewaliśmy, graliśmy jak nigdy przedtem.

O twoim głosie mówiło się niewiarygodne rzeczy. Iłoma oktavami dysponujesz?

Po menopauzie mam mniej. Nigdy nie miałam pięciu. To od początku było jakieś przekłamanie. Mam elektronikę, z którą śpiewam, i mogę sobie podwyższyć o dwie oktawy głos, obniżyć o dwie oktawy. To manipulacja w jakimś sensie. Miałam bardzo wysoki głos, brałam trzykreślne *f*, co jest w ogóle niespotykane, tak jak Yma Sumac. Rozpiętość głosu miałam niesamowitą. Ale była jeszcze jedna rzecz: sposób, w jaki ja wydobywałam dźwięk. Sugerował, że jeszcze wyżej zaśpiewam, że jeszcze coś jest. Może jakieś alikwoty się odzywały, nie wiem. Jak słyszę swoje nagrania niektóre, to też się dziwię.

Lubisz stare nagrania?

Niektóre lubię. Niektórymi się zachwycam, a innych się wstydzę. Uważam, że niektóre nie powinny w ogóle wyjść na światło dzienne. Byłam zawsze bardzo krytyczna, Michał mnie zawsze za to strofował. Niedawno odkryłam coś niesamowitego. Graliśmy w Oslo koncert, śpiewałam *Spain* Chicka Corei, to był rok siedemdziesiąty któryś tam. Zesłam ze sceny, byłam tak nieszczęśliwa, śpiewałam fatalnie według mnie. Co ja, cholera jasna, psia krew, robię? Przecież ja w ogóle śpiewać nie umiem.

Powinnam pracować na poczcie, mleko rozwozić, ale nie śpiewać! I to nagranie słyszę niedawno. Nie mogę uwierzyć.

Tak pięknie?

Genialne! Bobby McFerrin był wtedy jeszcze w powijakach. A ja już śpiewałam w tym stylu, eksperymentowałam. Boże, Michał miał rację, że mnie ochrzaniał na każdym kroku. Mówił, że jestem za bardzo krytyczna. Niektóre nagrania były bardzo dobre, oceniam po latach. Przetrywają wszystkich, każdą pogodę.

Dudziak to nie jest proste nazwisko dla cudzoziemca. Może Zofia Komedowa miała rację, by je zmienić?

Śpiewałam w Europie, w Austrii, w Wiedniu. Pierwszy koncert z zespołem Archie Sheppa. Archie Shepp, wybitny amerykański saksofonista, Murzyn, który grał razem z Coltrane'em. Sami Murzyni, znakomici muzycy. Shepp wychodzi na scenę i mówi: „Panowie i panie, przed wami objawienie na miarę światową. Najlepsza wokalistka, jaką kiedykolwiek słyszałem. Kobieta, która głosem potrafi poruszyć kamienie góry, wspaniała, jedyna w swoim rodzaju. Panowie i panie. Ladies and gentlemen. Przed wami Ursula...” i cisza. Zapomniał, jak ja się nazywam. To były lata 80. Z tyłu perkusista krzyczy do niego: „Dudziak, Dudziak”. Archie zapowiada: „Ladies and gentlemen, Ursula Dubczek”. Skojarzyło mu się z Dubczkiem i Czechosłowacją. Na Capri Shepp też nie mógł się powstrzymać: „Słuchajcie, ona śpiewa. Ona jest z Polski, słuchajcie! Genialnie śpiewa, słuchajcie!” Nie mogłam się skupić, cały czas mi przeszkadzał. Musiał swoją opinię szybko wyrazić. Dudziak to Dudziak, niech się uczą mojego nazwiska.

Papaja przesładuje Urszulę Dudziak.

Jechałam samochodem, prowadziła Marysia Sadowska. Jedziemy ulicą Żelazną w Warszawie. Z naprzeciwka idzie kobieta, chwije się na nogach. Chora? Zaraz zemdleje. W moim wieku, młoda

kobieta z długim stażem. Boże, zawał serca! W pewnym momencie się przewraca. Otwieram drzwi, lecę do niej, nachylam się i czuję gorzałą. Potrząsam ją za ramiona, otwiera szeroko oczy, patrzy się na mnie, uśmiecha się i tu-du-du-du. Poznała mnie muzykalna uzależniona. „Proszę pani, gdzie pani mieszka?”, pytam się. Ona odwraca głowę, pokazuje mi palcem jakiś dom, mówi: tu-tu-tu. Dowcipna baba, jak się na nią gniewać. Marysia Sadowska świadkiem.

12 kwietnia 2008 roku

Kto grał w szachy z Anatolijem Karpowem? Czy Ojciec Święty otrzymał taniemy? Gdzie jest marynarka Milesa Davisa? Kto jeździł z Hammondem po świecie, a kto z Breckerem po kraju? Czy śledztwo w sprawie jazzu zostało zakończone?

To książka o ludziach i muzyce, w szczerych rozmowach, jakie Jolanta Fajkowska przeprowadziła w Radiu VOX FM ze znaczącymi postaciami polskiego jazzu: Andrzejem Dąbrowskim, Krzesimirem Dębskim, Urszulą Dudziak, Arturem Dutkiewiczem, Bogdanem Hołownią, Andrzejem Jagodzińskim, Markiem Karewiczem, Krzysztofem Karpińskim, Zbigniewem Kurtyczem i Barbarą Dunin, Włodzimierzem Nahornym, Włodkiem Pawlikiem, Andrzejem Rosiewiczem, Krzysztofem Sadowskim, Stanisławem Sojką, Jerzym Stępnem, Januszem Stroblem, Lorą Szafran, Januszem Szromem, Michałem Urbaniakiem i Janem Ptaszynem Wróblewskim.



Jolanta Fajkowska – dziennikarka i publicystka telewizyjna i radiowa, z wykształcenia historyk sztuki i slawistka. Komentowała najważniejsze kulturalne wydarzenia w Polsce. Relacjonowała festiwale filmowe w Cannes i Gdyni, Międzynarodowe Targi Książki we Frankfurcie, Festiwale Kultury Żydowskiej w Krakowie, Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie i wiele innych. Laureatka m.in. medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis i tytułu Mistrza Mowy Polskiej.

patronat medialny

DZIKABANDA
PORTAL (NIE CAŁKIEJ) KULTURALNY

PSJ
POLSKIE STOWARZYSZENIE
JAZZOWE

JL
FUNDACJA
JAZZ JAMBOREE

granice.pl
portal literacki

jazz forum
The European Jazz Magazine

**ORLECZA
KULTURY**